"Kurjer Lwowski" Lwów, Środa dnia 7 marca 1917. Nr.112.

Czwartek " 8 " Nr.114.

Piątek " 9 " Nr.116.

Sobota " 1o " Nr.118.

A K W A R E L E.

(Wspomnienia z Włoch.-Ordon)

-"Monsieur Sozański - le capitaine Ordon" prezentowała mię urocza pięknością i wdziękiem panna Anita Strzemboszówna w domu rodziców swoich pp.Michałostwa Strzemboszów we Florencji mężczyznie, o wyniosłej postaci - jeszcze nie siwiejącemu, uśmiechniętemu, bez żadnej chmurki pewnej nieserdeczności, który wyciągnął do mnie obie ręce i żywą rozpoczął rozmowę na uboczu z gospodarzem po polsku. Dom Strzemboszów był typem domu francuskiego przemysłowca - artysty fotografa, który gdzie się dotknął tego fachu, tworzył pierwszorzędną siłę - czego dowiódł zakładami swemi w Paryżu, Turynie, Florencji, a w końcu w Rzymie. ... Majątek bardzo pokaźny zbierał - aby się później rozsypał w pył, a to z powodów, których tu nie dotykam, aby nie oddalić się nadto od przedmiotu.

We Florencji gościł u siebie stałe Ordona co czwartku, rzadko Lenartowicza, który chorzał, niedomagał - a panna Anita była Ordonowi "najmilszem dzieckiem, jakie znał" i rosła w jego oczach. Kapitan rad był z mego pojawienia się w domu przyjaciela, rad też był spotkać się zemną tam, a nie gdzieindziej, chyba w klubie czytelni Viexsseux, dokąd raz może, dwa razy zajrzałem, aby z nim rozmawiać.

- Postać to była stalowego charakteru - żołnierz w każdym calu.- Wyczuwałem w nim dostojność haseł księcia Józefa: "Honor i Ojczyzna". Skromności niezwykłej, lecz w ocenianiu ludzi sądu surowego, a zawsze sprawiedliwego. Bardzo trudnym był do pozyskania go sobie - to też do moich tryumfów zaliczam jego zezwolenie na zrobienie portreciku, do którego mi pozował trzy razy, nie szczędząc trudu jawienia się w pracowni o punktualności wprost bajecznej. Miniaturę tę przechowuję dotąd obok księcia Józefa Poniatowskiego.

- Ale sądzonemi mi było jeszcze więcej: Oto jeszcze na studjach

będąc we Florencji, może w drugim roku mego pobytu zdarzyło się tak, iż przyjaciel mój Zawiejski wraz z pewnym Amerykaninem, nazwiskiem Robertson Trowbridge wyjechali do Grecji i Egiptu, a ja sam zostałem. Z Ordonem jadaliśmy w jednej restauracji "Il Mondo" i jakby w kąpielowem miejscu zbliżyli się wzajemnie niemal koniecznością stykania się codziennego i przywyknieniem do siebie.- Strzemboszów już nie było. - Panna Anita wyszła zamąż i umarła po roku pożycia, co niemało zasępiało pogodny acz więcej zamknięty umysł Ordona. Uważałem, że moje o kraju opowieści zajmowały czcigodnego majora i coraz to więcej rozkrochmalał się, otwierał, a skarżył "na brak należytego trawienia, na niedowidzanie i na niedosłyszenie".

- Trzeba Bogu dziękować i za to panie majorze, iż z tem wszystkiem tak się poruszamy, jak poruszamy".

- Niezawodnie - odrzekł, ale już mię zaczyna i żenować towarzystwo, osobliwie dam, gdy rozmowy nie dosłyszę, gdy potrawy nie dojem.. choć się trzymam - ale właściwie jest to blaga...

- Daj mi Boże takiej błagi do końca życia - pocieszałem nieraz i do mickiewiczowskiej wracałem kwestji spotkania się ich wzajemnego, do chwili opisanego wysadzenia reduty w powietrze, a co najważniejsza, do szczegółów samego, cudownego ocalenia życia przy tym wybuchu prochów w magazynie. Uważałem, iż Ordon wtedy zapalał się, młodniał jeszcze bardziej, prostował się i głowę podnosił....

Aż oto raz spotkałem go około godz.5.pop. na ulicy i przyłączywszy się, dalejże gawędzić o obronie Warszawy. W rozmowie złożyło się tak, iż zacząłem Ordonowi, zwracając się ku obłokom, to ku niemu cedzić słowa wieszcza Adama: "Nam strzelać nie kazano...Wstąpiłem na działo...spojrzałem na pole - dwieście armat grzmiało".. Patrzę, Ordon uśmiechnął się, głową kiwnął, jakby mówił: tak, tak było, a ja dalej wiersz prowadziłem powoli, wyraźnie, akcentując i to zwalniając kroku, to przystając chwilami.- W miarę postępu poematu widziałem coraz to większy zapał w jego obliczu i coraz to płomienniej patrzące oczy jego to na mnie, to przed siebie.

Ura! Ura! Patrz, blizko reduty, już w rowy
Walą się. Na faszyny kładąc swe tułowy.

Już błyszczą się na białych palisadach wałów...

- przystanęliśmy i już stojąc, dokończyłem wypowiedzenia poematu, z zapałem, który wzajemnie i moją objął osobę. Oczy Ordona przy słowach: Tu blask! Dym, chwila cicho - i huk jak stu gromów... rozwarły się szeroko - wpatrzony już w niego, do niego, do bohatera samego przemawiałem słowem Adama i wtedy to przed ostatniemi wierszami ujrzałem dwie łzy, który błysły mu z oczu i potoczyły się, ginąc w brodzie siwiejącej.

- Nie dobywał chsutki, aby je osuszać - bo skończyłem - obie ręce mi podał i wytrząsł i tylko tyle powiedział: "Aleś pan spamiętał dobrze! żadnego innego rozczulenia nie dostrzegłem prócz tych dwóch brylantów znikłych błyskawicznie.

Była już szósta i przy obiedzie mówiliśmy o całkiem poziomych, codziennych tematach - ale przy pożegnaniu upewniał się, czy nazajutrz tu o 6.przybędę.

Czekałem już na Ordona. Nie chybił ani minuty i witając się dobył papier w kopercie dużej i wręczył mi mówiąc:- Tak Cię panie szczerze moje losy interesują, żem tu je spisał dla Pana! Nikt tego nie ma !

O mało żem w restauracji mu rąk nie ucałował. Było bo też i za co! Autobiografja Ordona!

Oddaję moje pióro Ordonowi.

M.Sozański.

(2)

Rękopism Ordona:

Reduta Ordona przez niego samego opisana we Florencji w miesiącu wrześniu 1882 roku.

"Urodziłem się w Warszawie 15.października 181o r. Początki nauk odebrałem w domu rodzicielskim pod dozorem najlepszego z Ojców. W 1823 r. wszedłem do Liceum Warszawskie go z bratem starszym Emilem, którem po 29.Listopada był gwardzistą akademickim, a po jej rozwiązaniu officerem w 7 pułku piechoty.

Po skończeniu mych nauk w Liceum zaciągnąłem się we wrześniu

...1828 r. na ochotnika do Batterji Artylerji Gwardji. Wziąłem udział w rewolucji 29 listopada 183o i wyparciu Moskali z Warszawy. Byłem w bitwach: 14 lutego pod Dobrem, 19. po Wawrem, 23. i 25 pod Grochowem, 31. marca pod Dębami Wielkimi, lo kwietnia pod Iganiem - w pogoni za gwardjami rosyjskiemi, 21. maja pod Tykocinem i Złotorytą, następnie pod Ostrołęką, gdzie byłem ozdobiony krzyżem Virtuti Militari i posunięty na stopień Podporucznika. Po tej krwawej bitwie ściągnęliśmy pod Warszawę dla zreorganizowania się.

W końcu czerwca batteria moja wysłaną ~~została~~ była z korpusem przeznaczonym do obserwowania ruchów nieprzyjacielskich pod Modlinem, poczem przez Wyszogród połączyliśmy się z Armią główną pod Belinowem, w marszu pod Warszawę.

W obronie Warszawy generał Bem objął komendę całej Artylerji. 2. września przeznaczył mnie na komendanta reduty Nr.54 po lewej stronie Woli.

Udałem się natychmiast objąć moją komendę i zrobić inspekcję stanu fortyfikacji, dział i artylerzystów. Ze smutkiem spostrzegłem, że stan obronny był jak najgorszym. Reduta wysypana w ⌀ sześciokąt z ziemi, nie wysłana nawet faszynami i koszami, by zasłonić działa i kanonierów od kul nieprzyjacielskich, fossy płytkie palisady w nich słabe, wilcze doły nie dokończone. Z 6-ciu dział żelaznych starych, jeden granatnik nie do użycia. Kilkudziesięciu artylerzystów z samych rekrutów złożeni. Zacząłem też natychmiast musztrę, a szczególnie celowania.

Nazajutrz 3-go generał Bem zwiedzając fortyfikacje, przyjechał i do mej reduty - zrobiłem mu raport z odbytej inspekcji; odpowiedział mi, że nie pozostaje, jak tylko bronić się jak można, że w razie attaku przyjdzie nam odsiecz, ale gdyby reduty obronić nie można, przygotować się magazyn wysadzić, by się amunicje w ręce nieprzyjaciela nie dostały.

Ze świtem artylerzyści byli przy działach, piechota, która się z dwóch kompanji około 2oo ludzi składała pod bronią.- 5-go z rana, gdy zaledwie dnieć zaczęło, patrząc przez telskop, spostrzegłem jeźdźców konno od strony wsi Włoch, byli to kozacy,

którzy, jak wiadomo, zasłaniają ruchy wojska moskiewskiego; kazałem dać parę strzałów, by ich rozpędzić i pokazać, że jesteśmy na baczności skoro się lepiej rozwidniło, spostrzegłem linji artylerji z kilkudziesiąt dział ku nam idącej, zacząłem ogień, popierany od sąsiednich szańców, ale Moskale nie bacząc na to, szybko podstąpili pod moją redutę i zaczęli ogień morderczy - w parę minut zdemontowali jedno z dział, ubili i ranili kilkunastu kanonierów. Ogień też nasz powoli ustawał.- Tymczasem piechota rosyjska zupełnie oskrzedliła nas; pomocy obiecanej ani widać było. Piechota nasza, która w czasie kanonady leżała pod wałami, by się o ile możności zasłonić od kul nieprzyjacielskich, powstała na komendę swych oficerów i zaczęła ogień na piechotę moskiewską, ale ta stokroć liczniejsza, odpowiedziała gradem kul, rzuciła się z bagnetem na garstkę naszych; ja tymczasem widząc redutę straconą, cofać się zacząłem z mymi kanonierami ku magazynowi, gdzie stał przy drzwiach, z których po schodkach schodziło się do tegoż, podoficer magazynier z lontem, by zapalić sztupiny u drzwi do prochów prowadzące; zbliżywszy się do niego kazałem przyłożyć ogień, spuścił lont okropny płomień, poczem nieświadomy niczego jak długo nie wiem; przychodząc do przytomności czułem ból piekielny twarzy i rąk spalonych, powstawszy cokolwiek, słyszę jeszcze pękanie granatów, a zresztą cisza zupełna - tak nasi, jak i Moskale rzucili się płaskiem, by uniknąć skorup granatów.- Tymczasem wszedł generał komenderujący atakiem, kazał zabębnić odbój i brać nas do niewoli - rannych włożono na wozy i tak odprowadzono nas do Nadarzyna.

(3)

Muszę tu wyznać, że nie widziałem jaki skutek zrobi eksplozja, nie miałem zamiaru ani siebie ani mych kanonierów w powietrze wysadzać; postanowiłem był wypełnić mój obowiązek, spuszczając się zresztą na wolę boską.- Wybuch ten wprawdzie kosztował życie wielu naszych a więcej nieprzyjaciela; ocalił jednak życie wielkiej liczby, która byłaby zginęła od bagneta spitego i rozbestwionego żołdaka moskiewskiego, opóźnił atak innych szańców i tem ułatwiał obronę; bo nieprzyjaciel sądząc, że nasze szańce były podminowane, szedł z obawą i ostrożnością.

Po wzięciu Warszawy, pozwolono naszym oficerom rannym jechać do familii lub przyjaciół leczyć się, bo przez czas tygodnia niewoli żadnego opatrzenia nie było dla braku zupełnego doktorów lub felczerów.- Przepędziłem kilka miesięcy w domu rodzicielskim, przyszedłszy do zdrowia, wraz z bratem młodszym Józefem, oficerem 1-go pułku mazurów, który uszedł był do Galicji z korpusem generała Rożyckiego i stęskniony niepotrzebnie wrócił do domu, dostałem się potajemnie nad Wisłę do Zawichosta, skąd do Galicji i pocztą obywatelską do Liska do zacnego patrioty hrabiego Ksawerego Krasickiego, prezesa Komitetu Narodowego - nie zastałem go ale szczęściem zastałem kochanego Pana Edmunda, syna mego towarzysza broni, służył bowiem w mojej baterji wkrótce po 29-ym; przyjął nas jak najserdeczniej.- Życzyłem sobie jechać do Francji, ale trudności były o paszport, tymczasem nastąpiła wyprawa Zaliwskiego - wyjechałem pewnego dnia w sąsiedztwo, by się porozumieć z innemi kolegami, tymczasem policja i wojsko napadały na domy, aresztując emigrantów; w czasie mej nieobecności napadli i na dwór w Lisku. Zabrali kilku oficerów i mego brata; nie mając poco wracać, wyjechałem do Lwowa, by tam lepsze wiadomości powziąść o ruchu, ukrywając się w zakładzie Ossolińskich - tymczasem wzięto Zaliwskiego i kilku naczelników, czem owa niedorzeczna wyprawa koniec wzięła.- Nie pozostawało mi, nic jak jechać nawet bez paszportu za granicę; przejechawszy wskróś Galicję, przybyłem do Kalwarji do szanownego barona Brandysa który ułatwił mi wyjazd do Cieplicy, skąd w nocy przez góry dostałem się do Saksonii do Drezna, tu otrzymawszy paszport od ambasadora angielskiego, dostałem się do Londynu, wyjechałem do Szkocji do Edinburga - gdzie wiele lat zajmowałem się dawaniem lekcji francuskiego i niemieckiego. W 1848 roku opuściłem Londyn z mym przyjacielem kapitanem w celu udania się do powstania w poznańskiem.- Po wielu trudnościach udaliśmy się do Berlina; tu reakcja zaczęła brać górę, przyaresztowano nas jak wielu innych i tylko przez wpływ młodzieży berlińskiej udało się nam wydostać ze szponów policji. Ruszyliśmy do Hamburga, gdziem po raz ostatni widział mego

brata Józefa, umarł on bowiem w 1852 roku. -

Otrzymawszy pasporty, udaliśmy się do Włoch, by wziąć udział w wojnie, wydanej przez króla sardyńskiego Karola Alberta Austrji. Bez straty czasu wstąpiłem do armji sardyńskiej w stopniu porucznika artylerji, odbyłem kampanie 48-go i 49-go, za które dwa medale otrzymałem. W 1885 na żądanie księcia Czartoryskiego opuściłem służbę włoską, udałem się do Londynu, wziąłem oddział 100 rodaków i okręt z bronią, amunicją i innymi zapasami, danymi nam przez rząd angielski; w końcu czerwca przybyłem do Konstantynopola, skąd do Warny i Szumli, gdzie połączyliśmy się z legionem pod Turkami z 6-ciu szwadronów składającym się, Mianowany kapitanem, wziąłem komendę szwadrona, przeznaczonego na artylerję. Od kilku miesięcy nasz legion przeszedł pod Anglików i nową wziął organizację - utworzyliśmy wzmocnieni jeńcami i dezerterami z wojska rosyjskiego 2 pułki kawalerji, 2 piechoty i baterję z 8 dział, którą ja organizowałem i komenderowałem w Sentari. Na nieszczęście, kiedy byliśmy gotowi wstąpic na linję bojową, zrobiono pokój i rozwiązano legiony. Otrzymałem tu order Madżidzi Taruki. Zawiedziony w nadziejach, udałem się do Francji, gdzie musiałem przyjąć miejsce profesora języków w kolegium w Meaux. Tu przerwana moja karjera wojskowa; straciłem najkorzystniejsze lata awansu w wojsku włoskiem i to tłumaczy, że kiedy moi koledzy doszli do stopni pułkowników, generałów, ja karjerę w stopniu kapitana skończyłem. W 1860 udałem się do Sycylii i do Neapolu do Garibaldiego, tam otrzymałem komendę 1-ej baterji - po skonczeniu kampanii otrzymawszy nowy medal, wszedłem po raz 4-ty w stopniu kapitana do armji włoskiej, tu byłem komendantem fortecy Ventimiglia Vinadio, cytadeli w Bresci Palermo. Nie widząc żadnej karjery przed sobą, podałem się do emerytury. którą otrzymałem 1872 jako kapitan ze stopniem majora. Od tego czasu zamieszkuję Florencję, pocieszając się nadzieją, że stan polityczny na wschodzie moze nam coś pomyślnego sprowadzi, że będę mógł jeszcze oddać usługi krajowi, po blizko 30-letniem doświadczeniu w rozmaitych wojskach.

Na pamiątkę poznania się naszego we Florencji w 1882 roku.

Michałowi Sozańskiemu

Julian Konstantyn Ordon.

- Nie posiadałem się z radości doznawszy tak podniosłych wrażeń wyspowiadanych przez Bohatera naszego, doznawszy tego zaszczytu, który mię tak z pośród żyjących ziomków na obcej ziemi wyróżnił. Wyczuwał też Ordon wewnętrzne granie w mej duszy i nie taił żadnego szczegółu, o który go pytałem.

Z Adamem Mickiewiczem - mówił on - spotkałem się w obozie tureckim w namiocie, do którego mię zaprowadzono - tworzył on tam legion, gdy ja już w służbie tureckiej organizowałem artylerję. Wszelki duch Boga chwali!' zawołał, gdy mię zobaczył,- a z któregoż świata przybyłeś?, zapytał, witając mię serdecznie. Ano, cóż! - Podobało się Opatrzności uratować mię i jestem oto tutaj - abyśmy prochu daremnie nie psuli!-. I rozpowiedzieć musiałem Mickiewiczowi wszystkie szczegóły mojej niewoli, gdy z piwnicy magazynu wysadzonego w powietrze wydobyto mię okropnie na rękach i twarzy poparzonego. Zawieziono mię do jakiejś karczmy w Nadarzynie i tam na pół przytomnego ułożono na łóżku. Sporo upłynęło czasu nim się felczer pojawił z adjutantem generała, który wziął redutę. Obandażowany bardzo skrupulatnie miałem ledwo otwór wolny do przyjmowania pokarmów i patrzenia na ludzi.- Rany z oparzenia dokuczały mi okropnie - ale uważałem, że miałem ludzi do obsługi więcej, niż potrzeba. Samowar syczał dzień i noc a rany piekły bezustannie, najprzykrzej dnia pierwszego, gdy przez dzień cały ciągle oto wizyty były oficerów, od tegoż generała począwszy, którzy mi się przedstawiali - i którym oczywiście rękę prawą podawać musiałem... Uważali oni sobie za punkt honoru, ażeby mnie pokonanego i leżącego w gorączce, co rychlej powitać - przybywali oni i z innych pułków oblęgających Warszawę i dlatego długo nie miałem spokoju....

Ale rychło przychodziłem do zdrowia.- Boć to młodość co regeneruje tkanki skórne i całe organy nawet, chore - nie tak panie - jak dzisiaj - gdy wtedy żyło się czem bądź a było się krzepkim - a dziś... Tu machnął ręką i z uśmiechem spojrzał mi w oczy...

Panie Majorze, zawróciłem z tematu - a jak się z tej karczmy w Nadarzynie Pan wydobył, zapytałem.-

Ułatwili mi sami ucieczkę...zakonczył...

- -

-Było to na wiosnę 1886-go roku.- Przyjechałem do Florencji na czas Swiąt Wielkanocnych i pomnę jak w Wielki Poniedziałek przy uroczystosci wylotu gołębicy z Katedry Duomo, zapalenia ogni sztucznych i hałasliwych przed frontem Katedry,- bujaniem tej gołębicy zastraszonej okropnie sykiem rakiet i grzechotem zabek ogni sztucznych dobywających się ze słynnego "Carro", dowiadywałem się o Ordona.- Jakiś chory i niedomaga mowił mi Zawiejski i dawno go już nie widziano na ulicy...

- Zły to był znak rzeczywiscie.- Ordon zachorzał! - i w gorączce porwał za pistolet ze sciany co pod krucyfiksem wisiał, wyskoczył z łózka i pod oknem strzelił w lewą piers - tam gdzie serce biło...A mierzył dobrze, bo skonstatował lekarz, iż przeszyłe zostało serce na wylot...

Lenartowiczowi dano znac najpierwej. Przybiegł przerazony. Zastał Ordona w bieliznie leżącego na wznak pod oknem'- załamał ręce nad nieszczęściem - nad tym fatalizmem, ktory nie dał bohaterowi dotrwac i docierpiec życia. Pochylił się nad opiewanym przez Adama bohaterem, dotknął głowy i piersi i spostrzegł dopiero, iz czyniąc mu znak krzyży na piersiach, pomazał konce palcow krwią jego. "Swięta to krew", wyszeptał, patrząc na swe palce i przezegnał siebie tym znakiem.- Powstał i wpatrując się w śpiącą twarz Ordona, westchnął i zapłakał.

"Wielkąs krzywdę nam wyrządził!...Taka piękna chorągiew upadła!...Nie rychło taką drugą miec będziemy".

Ordon pozostawił rozporządzenie co do swego pogrzebu - żądał spalenia zwłok swoich. Nazajutrz przedpołudniem ekspor tacja odbyła się z koscioła Miserykordji z honorami wojskowymi - a na piazza Cavour ustawiła się honorowa kompanja w czworobok, zwłoki na srodku, a Lenartowicz wszedł na schody kamienne na-

roznego domu i mimo ulewnego deszczu, miał przemowę do żołnierzy i garstki przechodniow, co pod arkadami skryli się przed ulewą. Przemowił płomiennie do nich - z akcentem mazurskim po włosku, władając notabene językiem Danta przewybornie, a sławił Ordona Włochom, porownując z Piotrem Mikka, co to w piwnicy zamkowej, podobnie jak Ordon, zapalił beczki z prochem i wraz z sobą pogrzebał w gruzach zdobywców zamku.

Krotko mowił, bo ulewa zalewała słowa mowcy - uszy słuchaczow. Pochod udał się na Trespiano - do krematorjum.

Spalenie zwłok Ordona miało przebieg normalny - trwało dziesięc minut zaledwie, jak mi to swiadek naoczny pan Wczelka opowiadał. Zwłoki Ordona wyjęto z trumny, ułozono na wznak na płycie żelaznej i wtoczono ją w otwor "zimny", niby przedpokoj własciwego krematorjum. Zasuwa szczelnie zasunięta, a otwarta zostaje druga, juz do czeluści wiodąca - tam wjechała płyta juz automatycznie i tam obserwowac mozna było przez izolowane okna z boku proces spalenia. W jednej chwili zajaśniał cały Ordon, jakby w aureoli - zadnego dymu, zadnego płomienia, tylko jasno czerwone wszystko - i tło, i płyta i zwłoki - po kilku minutach, jakby ruch w srodku tułowia i opadnięcie takowego w formie czerwonego popiołu - jeszcze parę minut i spalenie dokonało się całkowite. Znacznie juz dłuzej trwa oziębianie płyty i staranne zsuwanie popiołu do urny.

Pomnik Ordona, dłuta Tadeusza Barącza, stoi na naszym cmentarzu Łyczakowskim, a popioły, jak mi mowiono, przechowane są w Instytucie Ossolinskich.

Tak żył i skonczył Juljusz Konstanty Ordon.

- -

Wielki mi spadł ciężar z piersi. Dałem bowiem wierny obraz postaci, o ktorą mię zapytywano, nie o to, czy istniała, ale o sam czyn opiewany przez Mickiewicza, jakoby "przesadzony bujną fantazją poety. Wątpliwosci usunąc takim dokumentem, jak autobiografją i komentarzem z osobistych przezyc z bohaterem Listopadowego Powstania, uważałem za swięty moj obowiązek.

Michał Sozanski.

"Kurjer Lwowski" z dnia 20 marca 1917 Nr.134.6.

Drobne sprostowanie relacji o Juljuszu Konstant. Ordonie.

Pan Michał Sozański w feljetonie "Kurjera Lwowskiego" podał autobiografję Juljusza Konstantego Ordona, kończąc opowiadanie swoje temi słowy: "Pomnik Ordona, dłuta Tadeusza Barącza stoi na cmentarzu Łyczakowskim, a popioły, jak mi mowiono, przechowane są w Instytucie Ossolińskich we Lwowie".

Byłem osobiście na uroczystości poswięcenia pomnika Juljusza Konstantego Ordona, na cmentarzu Łyczakowskim. Widziałem jak wstawiano do niszy, u gory pomnika, urnę z prochami.- A więc popioły Ordona spoczywają w pomniku, a nie są przechowywane w Instytucie Ossolinskich.

Przy tej okolicznosci wspomnieć muszę o smutnym fakcie, ktory wowczas dotknął głęboko serca patrjotyczne ludzi myslących. Wyraz zaś uczucia jakie ow fakt wywołał, wypowiedziany został wowczas otwarcie i szczerze przez redakcję "Kurjera Lwowskiego". Fakt, o ktorym mowa, był następujący: Duchowienstwo katolickie odmowiło swego uczestnictwa w uroczystosci patrjotyczno-narodowej, musiano się udac do duchownego wyznania luterańskiego. Pastor, ktorego nazwiska nie pamiętam, poswięcił pomnik i miał przemowę stosowną, rozumną, podnosił bohaterstwo i patrjotyzm dzielnego męża, ktoremu wdzięczny narod stawi pomnik niniejszy. Imię jego, jak to proroczo przepowiedział Wieszcz nasz niesmiertelny, w poemacie swoim "Reduta Ordona", będzie patronem szancow wojska polskiego, walczącego zawsze tylko za wolnosc, a nigdy w celach zaborczych.

Dzienniki nasze omawiając ow wypadek smutny, przytaczały fakt podobny, jaki miał miejsce w Warszawie, przy poświęceniu pomnika dłuta Torwaldsena, stawianego na Krakowskiem przedmiesciu, poswięconego pamięci największego genjusza Polski Mikołaja Kopernika. I wtedy musiano się udawac do duchowienstwa ewangelickiego, bo duchowienstwo katolickie odmówiło uczestnictwa swego w uroczystości tej narodowej. Pastor wygłosił przemowę patrjotyczną, wielbiąc zasługi Kopernika wobec ludzkości całej.

Dr. B. Dybowski.